ROK I — NR 9
LISTOPAD
WILNO 1933



MIESIĘCZNIK
MŁODYCH
KATOLIKÓW

Treść numeru:

Kameduli, pornografja i uwagi na czasie — *W. Rudziński*

Pustelnik — *Antoni Gołubiew*

Materjalizm filozoficzny na tle współczesnej fizyki — *L. Korowajczyk*

Alkohol to zguba ludzkości... — *W. Rudziński*

Marjan Zdziechowski — Węgry i dookoła Węgier — *W. A.*

Czerwone marzenia — czarna rzeczywistość — *W. Z.*

Czyż tak było w Legaciszkach? — list do Red. (okł. 3 str.)

Warunki prenumeraty:

bez przesyłki		*z przesyłką*	
półrocznie . .	**zł. 1.—**	**półrocznie . .**	**zł. 1.10**
rocznie . . .	**zł. 1.90**	**rocznie . . .**	**zł. 2.10**

Cena pojedyńczego numeru 20 groszy

Prenumerata zagranicą: półrocznie 1 zł. 90 gr., rocznie 3 zł. 70 gr.

Ceny ogłoszeń:

Ostatnia strona okładki: Cała strona — 45 zł.; $1/2$ strony — 27 zł.; $1/4$ str. — 18 zł.; $1/8$ str. — 9.50 zł.
Przedostatnia strona okładki: Cała strona — 37 zł.; $1/2$ strony — 21 zł.; $1/4$ str. — 14 zł.; $1/8$ str. — 7.60 zł.

Redakcja i Administracja: Wilno, Uniwersytecka 9—9. Konto P.K.O. 144.229
Redakcja i Administracja czynna w poniedziałki, środy i piątki od godz. 19-20

Za P. A. K. S. (Porozumienie Akademickich Katolickich Stowarzyszeń) — Leokadja Małunowiczówna

ROK I — NR 9
LISTOPAD
WILNO 1933



MIESIĘCZNIK
MŁODYCH
KATOLIKÓW

Kameduli, pornografja i uwagi na czasie

Jeżeliśmy poruszyli w ostatnim numerze „Paxu" bolesną dla nas sprawę rozluźnienia obyczajów w Legaciszkach, to nie dla czego innego, jak żeby tem groźnem memento wstrząsnąć społeczeństwem, a zwłaszcza społeczeństwem młodych i wyrwać je ze śpiączki i bezwładu.

To, co się tam dzieje, to nietylko fakt stwierdzony z pomiędzy szeregu innych, o których się dość często mówi w związku z akademickiemi domami i kolonjami, a nawet i długiemi nocnemi zebraniami Bratniaka. To przedewszystkiem *signum temporis* tego, co się wokoło nas dzieje, co grozi ruiną kultury i upadkiem człowieka. O takich rzeczach trudno milczeć.

Czyż nie mówi nam o tem sposób, w jaki został przyjęty artykuł kol. Małunowiczówny; że artykuł ten nie jest przyjemny, — któżby wątpił? Cóż łatwiejszego niż pokpić, pośmiać się, zaczerpnąć z niezbyt oryginalnej i wytwornej wyobraźni parę anegdot na temat „przeczulenia", „histerji" czy „staropanieństwa"? Gdy rak lub gruźlica sieje spustoszenie, nikt nie ośmiesza lekarza, który szuka lekarstw, nawołuje do higjeny, czy żąda zastosowania środków profilaktycznych.

Sprawę poruszoną w ostatnim numerze uważamy za zbyt poważną, aby przejść nad nią do porządku. Nie mamy jednak zamiaru prawić kazania, ani „moralizować". Nie mamy nawet ochoty przekonywać o znaczeniu społecznem czystości i dostojności małżeństwa, ani o cenie miłości, która uświęca związek fizyczny dwojga ludzi, ani o szacunku dla własnego ciała — w którego zmartwychwstanie i przemienienie wierzy Kościół Katolicki — ani o tem, że uregulowanie życia płciowego nie jest jeszcze zamianą świata w klasztor Kamedułów. Szkoda więc słów dla tych, dla których te prawdy są niewygodne, a przez to samo dziwaczne, niemądre, „zacofane". Nie warto nawet tłumaczyć, że szóste i dziewiąte przykazanie Boże zawiera w sobie prawo przyrodzone, od którego zależy zdrowie społeczeństwa. Postarajmy się tylko o fakty, o obraz tego społeczeństwa, które nie chce uznać żadnych reguł i hamulców, dla którego użycie stało się prawem najwyższem, w którem cała jakby mądrość i przemyślność, cała organizacja zwrócona jest do jednego celu: w jaki sposób używać najtańszym sposobem. Przeżywamy dziś okres takiego zdziczenia moralnego, że tym, którym pomimo wszystko śmiać się chce, wtedy kiedy się mówi o godności ludzkiej, trzeba przypomnieć za Foersterem ową bajkę, w której zwierzęta śmieją się z człowieka, iż na dwóch nogach chodzi zamiast pełzać na czterech łapach.

Zdziczenie moralne to nie przesada! Mówi o niem i stopień płciowego rozprzężenia, żerującego z alkoholizmem i to żeśmy się z tem oswoili, że się zatarły dla nas granice zła i dobra, piękna i brzydoty, że nie czujemy żadnej odpowiedzialności za zło, które się dzieje w społeczeństwie.



T. Stulgiński — Pawjan — rzeźba

Zresztą mówią o tem fakty. Najprzód więc najpopularniejsze pojęcia. Czy się nie szydzi u nas z czystości, czy nie uważa jej opinja raczej za niemoc płciową; czy „męskość" nie stała się u nas synonimem wyuzdania, jak była pojęciem panowania nad sobą. Czy nie uważa się za dogmat prawa o „wyszumieniu się" młodzieży męskiej. Czy nie uprawnia się często niedojrzałych chłopców do przedwczesnej rozpusty, czy nie ułatwia się im, zwłaszcza w domach inteligenckich, „zabawy"? Czy nie zamykają nasi rodzice oczu na erotyczne wybryki synów? Czy nie uważają ich za niewinne, potępiając tylko takie rozrywki miłosne, które grożą: 1) nabyciem choroby wenerycznej, 2) dochodzeniem karnem, 3) skargą na skutek uwiedzenia lub ojcostwa, 4) przeciąganiem stosunku, mogącem zaszkodzić w zawarciu korzystnego małżeństwa?

Czy nie mówi się o podwójnej moralności — że wszystko

jest w porządku, skoro mąż zachowuje pozory? A jeżeli się zrywa z tą zgubną teorją, to czy nie znamy wyznawców poglądów, że kobiecie wszystko wolno, że może korzystać tak jak mężczyzna ze wszystkich praw, a po ślubie wszystko ułożyć zależnie od własnego upodobania i umowy?

Czy nie godzimy się jako z faktem naturalnym z tak zw. „rozmowami męskiemi", które wciąż się kręcą koło jednego, niezależnie od tego, czy się odbywają w sklepie, biurze, kasynie oficerskiem, na korytarzach uczelni, w salonie, czy na jarmarku. Przecież to te najcodzienniejsze fakty, z któremi się godzą wszyscy, z któremi, co najważniejsze, godzą się kobiety — narzeczone, żony i matki.

„Każdy, który twierdzi, że młody człowiek może się zabawić, uznaje przez to samo, że w społeczeństwie musi istnieć niezliczona ilość kobiet upodlonych i upadłych, których bezwstydny zawód jest brudną plamą na całem społeczeństwie. Jakiemi będą te prostytutki? Skąd będziemy je rekrutować! Czy będą niemi nasze córki i nasze siostry? Nie, z pewnością nie. A wtedy? Jakiem prawem będziemy twierdzić, że mają w społeczeństwie istnieć młode dziewczyny bardziej naiwne, czy więcej występne, lub też bardziej nędzą przytłoczone, których przyszły upadek odpowiadałby tej społecznej potrzebie"[1]).

Zostawiamy to bez komentarzy: widoczne to dla wszystkich i najlepiej dowodzi, że powierzchnia społecznego życia nie jest wcale przejrzysta: dowodzi to zamulenia dna, w którem się zatracają czyste źródła.

Idźmy więc głębiej!

Pomińmy już sprawę, zdaje się zupełnie jasną, szkodliwości takich rzeczy jak premjowanie najpiękniejszych nóg, pleców, czy pieprzyków; konkursów piękności, które nie są przecież niczem innem, jak wyrazem monstrualnego kultu ciała i chęci zagrania na najniższych instynktach.

Pomińmy sporną kwestję literatury pięknej, czy sztuk plastycznych w dziełach skądinąd wysokiej wartości artystycznej, opisujących życie erotyczne, gdzie można jaskrawość scen, sytuacyj, czy powiedzeń usprawiedliwić artystycznem podejściem do rzeczy, choć niemniej badania ankietowe stwierdzają, że mimo to są one nieraz podnietą seksualną, często pierwszą; czytelnik bibljotek publicznych może na podstawie podkreśleń i uwag na marginesie stwierdzić, co wpadło w oko lub do duszy młodzieńczemu czytelnikowi.

Nie poruszę też sprawy zwykłego teatru, choć tu na terenie Wilna możemy stwierdzić, że nasi artyści mają zupełnie specjalne pojęcie o wychowaniu młodzieży. Niedawno dawano głupią i nieciekawą komedję „Triumf medecyny". Mniejsza o nią — podobała się mimo to dzieciom. Czy dlatego, żeby trafić do rzekomego gustu młodzieży na przedstawieniu szkolnem artyści postarali się o takie gesty, ruchy i podkreślenia trywjalne, jakich nie było na premjerze? Czy w ten sposób chcecie się państwo wkupić w łaski młodzieży?

Z konieczności pobieżnie tylko traktuję sprawę kina, dotąd przez władze szkolne nierozwiązaną. Kino ze swemi programami, anonsami i fotosami, ta niezawodnie dziesiąta muza, która mimo swych środków i talentów, mimo całej swej odpowiedzialności społecznej jest czynnikiem rozkładu. Myśmy się coprawda z kinem otrzaskali, ale spójrzmy bezstronnie na jego programy. Czy nie niosą nam one znowu kultu ciała; nie wysuwają na plan pierwszy życia seksualnego; nie wysilają się, by pokazać wszystkie formy rozwiązłości i cudzołóstwa nie apoteozują bohaterów wszelkiej miłości i tej z rynsztoka i tej z bramy i tej z wytwornego lupanaru? Czyż życie widziane oczami artystów z Hollywood jest tą rzeczywistością, z którą się spotykamy, która jest szara, zwykła, a jeżeli promienna to „troszkę inaczej" niż w kinie? A wulgaryzm — to typowe amerykańskie chamstwo—czy i ono się nam podoba? A może rzeczywiście kulisy życia szulerów, zbrodniarzy, heter jest uszlachetniającą strawą dla naszych dzieci? Proszę się przyjrzeć grupom młodzieży przypatrującej się fotosom, nieraz gorszym, bo uwypuklającym to, co zaciera się w czasie seansu. Czyż rzeczywiście te fotografje ubranych czy rozebranych artystek w rozmaitych pozach i sytuacjach, posiadających niezawodnie to, co Amerykanie nazywają „sex appeal", nie jest poprostu w skutkach pornografją?

Nie będę też roztrząsać zagadnienia t. zw. nowoczesnych tańców, o których p. Muszałówna, którą trudno posądzić o świętoszkostwo, pisze w swych wrażeniach z Ameryki w ten sposób:

„Grają zmysły dopingowane rytmem muzyki i barwy, wszystko jest w tej sali poto, aby dać nastrój namiętnościom erotycznym. Wszystko obliczone na wysoki ton atrakcji zmysłowej, ostrego podniecenia, przejmującego dreszczem nerwów i drobnego nakłuwania serca wrażeniem — a może to jest miłość? Wszystko w tej sali gra, wszystko gra w ludziach. Ludzie także grają — obcy sobie, przed chwilą jeszcze nieznani, w tańcu rozkochani, za chwilę będą może znów nieznani. Taniec po tańcu, dreszcz po dreszczu... Taniec rozpasany namiętności nieukrywanych, podniecanych umyślnie rytmem, alkoholem, bezwstydną piosenką słów wylatujących z roześmianej białemi zębami twarzy"[1]).

Czyż inne są nasze bale? Może tyle się tylko różnią, ile różni się ciche wyrafinowanie Europejczyka od rozmachu Amerykanina nawet w życiu seksualnem. I czy nie stara się bawić w podobny sposób nasza młodzież szkolna? Niezawodnie nie jest tak źle, lecz czasem patrząc na szkolne zabawy—widzi się jak mało w nich pogodnej, wiośnianej radości, a tyle dowodów, że i tu wtargnęło „życie". Zresztą jeżeli nie jest naprawdę źle, to niemniej zabawy szkolne rzadko stoją na właściwym poziomie, choćby tylko dlatego, że młodzież bawi się za dużo; bale szkolne odbywają się niemal co 2 tygodnie, a dzięki temu wytwarza się psychika balowania, ani zdrowa, ani czysta. Czyż nie rozumieją tego najwyższe władze szkolne? Od psychiki balowania krok jeden do spróbowania i użycia.

Jeżeli ograniczyliśmy się tylko do wymienienia sprawy kina, teatru, tańców, erotyzmu w literaturze pięknej — to dlatego, że artyzm utrudnia sąd i nie pozwala na bezwzględne anathema. Niemniej doceniamy szkodliwy wpływ tych rozrywek, zwłaszcza w kształtowaniu duszy młodzieńczej. Jeżeli nie pobudzają one wprost, to niezawodnie niszczą odporność duszy, zabijają w niej wstyd, który jest podświadomym hamulcem, silniejszym, niż decyzja rozumu i woli, a którego znaczenie zapoznaje się, utożsamiając go ze zwykłą pruderją.

Zresztą nie powinniśmy wogóle zapominać o słabości natury ludzkiej; należy zerwać raz z teoretycznym optymizmem w tej kwestji. „Nie zastanawiacie się, jak wielki jest ciężar grzechu", mówi św. Anzelm. Nie trzeba zresztą Ojców Kościoła — wystarczy lektura Forela, który w sposób przyrodniczy ukazuje — czem jest człowiek. Trzeba raz stanąć na stanowisku realnem, zobaczyć tragiczne więzy, krępujące człowieka; wiemy, jak wiele trzeba wysiłku i pomocy Bożej, żeby wydobyć z siebie ofiarność i heroizm i wyzwolić się z pod panowania zwierzęcia, a jeden film, jedna książka może przechylić szalę zwycięstwa... Duszy zaś, w której się zatruje nieświadome siły obronne, grozi ze wszech stron niebezpieczeństwo. Chcę mówić o pornografji. Żyjemy bowiem w epoce jej triumfu.

1) Najgroźniejszą pozycją jest bezwstydna książka, broszura, ulotka, czasopismo, której służy chętnie grafika i fotografja.

Książka? Znajdziecie ją w ręku niemal każdego sztubaka: czerpie ją z kiosków i najprzyzwoitszych skądinąd księgarń, gdzie obok taniego, lekkiego cyklu „Eroticonu" znajdziemy prawdziwie wyrafinowaną dla znawców i smakoszy. Niektóre powieści rozchodzą

[1]) P. Bureau: Rozprzężenie obyczajów, 1929 r.

[1]) Kobieta Współczesna — rocznik 1932.

się w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, nawet u nas, gdzie kolportaż dobrej książki nieszerokie zakreśla koło.

Prasa? Znamy ją aż nadto dobrze, tę zwłaszcza o zabarwieniu humorystycznem, deprawującą wszystkie warstwy. I tę brukową, grasującą wśród ludu. I tę codzienną, uczciwą, z anegdotą pod szpaltami, z ogłoszeniami o rozmaitym posmaku, z sensacyjnemi wypadkami dnia, czy sprawozdaniami z sądów. Że już nie nadmienię o takim „Tajnym Detektywie". Tyle się mówi u nas dzisiaj o obywatelskiem kształceniu. Czy i to jeden ze środków? Nie łudzimy się, że to Tajne Detektywy i cała prasa czerwona, ogłoszenia i anegdoty przysparzają prenumeratorów i napełniają kieszenie redaktorów i wydawców.

2) Drugą pozycję zajmuje kolportaż pornograficznych albumów, rycin, foto-aktów. Nie da się poprostu opisać ich ohydy. Roznoszony jest ten towar przez tajnych sprzedawców, ukrywany przed policją w małych sklepach i antykwarniach żydowskich. Elegancko ubrani panowie dużo kupują tych wybrednych artykułów i dużo za nie płacą. Oblicza się na miljony ilość bezwstydnych kartek puszczonych w obieg w naszem stuleciu.

3) Dalej idzie słowo mówione. Straszne, brudne słowo mówione, które się przemyca w tych t. zw. szlagierach, które się śpiewa dla nastroju nietylko na balu i dancingu, lecz które nucą nawet małe „szpunty" w szkołach i ośmioletnie „żuliki" z ulicy.

4) Poszło w służbę pornografji i widowisko. Często bezwstydny teatr, kino. Proszę przypomnieć u nas w Wilnie choćby „Przestępców", którzy byli coprawda grani w stolicach, ale w takim np. Berlinie nie w pierwszorzędnym teatrze — lecz teatrzyku, który nie stawia sobie wysokich celów moralnych. A kino? Wystarczy jeżeli wymienimy szereg obrazów, mających na celu seksualne uświadomienie. Jeżeli teatrzyk, music-hall, kabaret nie jest dla nas wilnian rzeczą aktualną, to jednak możemy się pochwalić rewją i występami kabaretowemi, gdzie monolog, piosneczka, obrazy, gra sceniczna i lubieżny taniec może iść w zawody z „budami" wielkich stolic. A nagość, tak jak i w pornograficznej fotografji, wychodzi tu ze sfery artyzmu. Czasem na takiem widowisku ogarnia tylko wstręt, czasem się człowiek pyta siebie, gdzie są władze, gdzie są ci zdrowi ludzie, coby zabrali głos wobec jawnej, świadomej woli wyzwolenia w człowieku zwierzęcia. Lecz zawsze niezależnie od tego, czyto będą teatrzyki Montmartre'u, czy Morskie Oko, czy przedstawienko w Lutni — znamy tę międzynarodową atmosferę widowni harmonizującą się z tymi, co się przyszli zabawić. Drugą kategorję takich kabaretów — mamy je w Wilnie — stanowią podejrzane lokale, „kabarety nocne i garnizonowe, nigdy porządnie nieoświetlone, nigdy dobrze niezamknięte, ociekające „miłością", alkoholem i krwią. Dziewczyny z ludu idą tam na prostytucję, by zarobić na życie, a równocześnie zatruwają swoich braci pracujących" (Bureau, o. c.).

Kiedy mowa o pornografji, trzeba zaznaczyć, że zbyt długo szerzyło się pojęcie o naszem pod tym względem zacofaniu. Może nam wystarczy świadectwo Przybyszewskiego (Moi współcześni), gdzie podaje, że za Dzieje Grzechu otrzymałby Żeromski w Sztokholmie co najmniej 2 lata więzienia, Daniłowski za „M. Magdalenę" byłby skazany w Christjanji na ciężkie roboty, jego zaś samego jako Anglika spotkałby los Oskara Wilde'a. Zresztą i nam wystarczyłoby prawo prasowe, prawo o widowiskach, cenzura filmowa, konwencje międzynarodowe, kodeks karny art. 214, rozporządzenia P. Prezydenta z dn. 6. III. 1933 r. gdyby to wszystko było przestrzegane. Niestety wciąż się nam nasuwa pytanie — co robi cenzura? Jaki jest stosunek do tych kwestyj naszej policji?

Zrozumiałe, dlaczego tyle miejsca poświęcamy pornografji. Wpływ jej polega na tem, że budząc pewne uczucie, pobudza jednocześnie do czynu. Zależność między systemem nerwowym a mechaniką życia płciowego jest najprostsza, nie bez znaczenia jest i to, że nerwy nasze mają zdolność przechowywania i odtwarzania otrzymanych wrażeń. A od przyjemności przeżytej w „wyobraźni" jeden krok do poszukania jej w rzeczywistości. A stąd znów nawrót do pornografji, która nam pozwoli na odnawianie przeżytych wrażeń. Stąd to ścisłe błędne koło, jakiem się wspiera i uzupełnia życie płciowe i to drugie płciowe życie wyobraźni, w którem może się dowoli zanurzać, zwłaszcza że naciągnęliśmy do naszych wybryków sumienie, a różne doktryny uczyniły w naszych pojęciach spustoszenie: indywidualizm, stawiając w sposób fałszywy zagadnienie wolności i żądający dla instynktów, namiętności i sił ludzkich nieograniczonej swobody; socjalizm, atakując moralność chrześcijańską w imię materjalizmu i na plan pierwszy wysuwając potrzeby materjalne, jako cel dążeń człowieka i społeczeństw.

Pokażmy łańcuch tego życia „podświatów". Od pornografji nie trzeba kroku, żeby się znaleźć w domu publicznym. Trudno opisać zespół sposobów, któremi rozporządza prostytucja ani jakiemi posługuje się ten wysoki przemysł w celu przynęcenia sobie klijentów. We Francji na kilka lat przed wojną oddawało się nierządowi 500.000 kobiet, handlujących swem ciałem w wytwornych mieszkaniach bogaczy, domach publicznych, podmiejskich kabaretach, hotelikach, wogóle wszędzie gdzie się da. Chyba nie trzeba dowodzić potworności tego zjawiska społecznego, które jest tem straszniejsze, iż jest przedmiotem zysków, że stało się zawodem, organizacją, przemysłem, że posiada swych stręczycieli, swoje targi. Młode dziewczęta, nawet dzieci stały się przedmiotem eksportu i importu. Nie zapominajmy, że łączy się z tem handel kobietami, że w drugiej połowie zeszłego stulecia Polska zasłynęła jako niewyczerpane źródło żywego towaru.

Powiemy, że odnosi się to tylko do zagranicy, do wielkich miast. Może jednak wystarczy rozejrzeć się po Wilnie, żeby stwierdzić, że choć niema w Polsce domów publicznych, to jednak z chwilą gdy noc zapada — całe miasto zamienia się w jeden wielki dom publiczny.

W wojsku sprawa ta przedstawia się jasno: gdy np. minie okres odosobnienia rekrutów, udziela im się parogodzinnych urlopów na odwiedzanie odpowiednich lokali, z tem tylko zastrzeżeniem, aby potem zgłosili się do lekarza.

Po prostytucji, która jest konsekwencją nieuregulowanego życia płciowego i oddzielenia instynktu płciowego od instynktu rozrodczego a przyjemności związanej z aktem płciowym od obowiązku prokreacji przychodzi krok naprzód — stosowanie środków neo-maltuzjańskich, które zwalniają od odpowiedzialności i niewygody w życiu kawalerskiem, jak i małżeńskiem. Nie licząc się z żadnem prawem bożem ani naturalnem, szerzy się tę straszną, grożącą ostatecznem zwyrodnieniem psychozę. Cała falanga publicystów, lekarzy, aptekarzy, agentów, akuszerek poświęciła się misji rozszerzania niezliczonych przyrządów. Reklama i pokaz, ulotne kartki i konferencje, prospekty i katalogi — wszystko to służy jednemu, niezawodnie popłatnemu celowi. Świadome, sztuczne ograniczenie płodności — obok zwiększonej ilości poronień, oto idée fixe dnia dzisiejszego, uznana niemal za filar budowy społecznej. Mówi nam chyba zresztą o tem i ostatnia ustawa o uposażeniach urzędników, wyraźnie depopulacyjna, bo wyznaczająca pobory na żonę i tylko jedno dziecko. Praktyki zapobiegawcze, jak wykazują statystyki, nie zmniejszyły ilości spędzania płodu (odsyłam po statystykę do Bureau: Rozprzężenie obyczajów). Ilość sztucznych poronień niszczy u nas $^1/_3$ nienarodzonych.

Jakiem bezczelnem kłamstwem jest dzisiejsza opieka nad dzieckiem. Któż policzy dzieci, które

zabito, którym przeszkodzono w przyjściu na świat, i te, którym się stale wymawia przyjście na świat. U nas w Polsce stanął już pomnik tego rodzaju kultury — poradnie Boya — mają też pono i do nas, do Wilna zawitać. Zresztą są już pierwsze jaskółki. Wszędzie po aptekach, zwłaszcza żydowskich (nic dziwnego!) widzimy w oknach reklamy intymnych środków. Policja na to nie reaguje! Reklama zatacza szersze koła. Pojawiły się reklamy świetlne na ulicach miasta; niestety jest to — jak dowiedzieliśmy się — dzieło P.A.T-a. Na szczęście dzięki interwencji Ks. Arcybiskupa i p. Wojewody — zostały one zdjęte. A czy wie o tem Kuratorjum, że pojawiły się już gumki i scyzoryki z reklamą środków zapobiegawczych? Posiadamy takie corpus delicti!

Po praktyce spędzania płodu przychodzi dzieciobójstwo, kazirodztwo i występki przeciwko naturze. Mówią nam o tem od czasu do czasu jakieś sensacyjne procesy sądowe, z których, nawiasem mówiąc, czytają sprawozdania dzieci i młodzież.

Ale to nie wszystko.

1) Idzie dalej depopulacja. Czem jest, widzimy to we Francji. Cyfry? — W roku 1896 miała Francja na 1000 mieszkańców 32,9 narodzin, w 1912 — tylko 14,3. A Polska? Ilość narodzin stale opada. Wykazuje to tablica Weinfelda. Ostatnie statystyki wykazują, że przyrost ludności zmniejszył się w roku 1930 — 16,7, 1931 — 14,7, 1932 — 13,7. Kraj, stający się liczebnie słabszym, traci znaczenie polityczne.

2) Degeneracja fizyczna. Mówiono: „mniej urodzin a więcej pięknych ludzi". A tymczasem przyszło osłabienie rasy. Natura sama czyni selekcję, zostawiając najsilniejszych i najzdolniejszych. Dziś, powiedzmy „mniej gęb" lecz również mniej sił i twórczego stosunku do życia. Lekarze stwierdzają, że zapobieganie ciąży powoduje szereg ciężkich, nerwowych chorób. A ciąża naogół mniej wyniszcza organizm kobiety, niż wszystkie sztuczne zabiegi przeciw macierzyństwu, powodujące szereg chorób.

Nie będę już mówić, że neomaltuzjanizm wychodzi tylko na niekorzyść kobiet, które oddane zostają na łaskę i niełaskę brutalnych sił mężczyzny, nie liczącego się teraz z niczem, że wywiera nieobliczalne szkody moralne jako system oparty na egoizmie i idący wbrew naturze, że system „jednego dziecka" fatalnie się odbija na charakterze tegoż dziecka.

Możnaby tak mnożyć fakty, cyfry, dane, dające obraz naszego upadku i jego konsekwencje.

Dorzućmy jeszcze słów kilka o skutkach rozprzężenia seksualnego. Chyba nikt nie zaprzeczy, iż tu leży przyczyna rozkładu większości rodzin, że tu jest przyczyna istotna wszystkich wiarołomstw, i zastraszający wzrost wolnych związków, które się toleruje i uprawnia, że rozprzężenie moralne prowadzi do wzrostu przestępczości wśród młodzieży, która ostatnio bardzo wzrosła. Nierząd jest terenem, dzięki któremu, mimo wszystkich reglamentacyj, szerzą się choroby weneryczne, które są największą obok gruźlicy plagą ludzkości. W roku 1913 zginęło we Francji na syfilis 30.000 ludzi. Sądzę, iż wojna raczej tę liczbę wzmogła.

Tyle co do skutków społecznych, które się rozwijają stosunkowo niewidocznie. O ile ukryte jest działanie jednostki w tej dziedzinie o tyle głębiej i szerzej idzie jej wpływ społeczny. Możnaby o tem pisać tomy. Niezawodnie ostatniem pytaniem, które się zrywa, jest DOKĄD IDZIEMY? Ruina jest tuż. Czyżby to już naprawdę upadek kultury? „PRZYSZŁOŚĆ NALEŻY DO NARODÓW CZYSTYCH" — mówi P. Mann, czybyśmy się naprawdę chcieli wyrzec przyszłości? I jeszcze jedno pytanie. Gdzie są ci, co powinni stać na straży publicznego dobra, co znają cały ciężar grzechu, mają ogromne horyzonty na życie wieczne i nieugięte podstawy i zasady moralne, korzystają z łaski Bożej, z Sakramentu Ciała i Krwi Pańskiej, ze skarbca modlitwy? Powinni powiedzieć jedno gromkie, konsekwentne NIE POZWALAMY! Apteki katolickie sprzedają zakazane środki, na półkach katolickich księgarzy—leży plugawa literatura, w towarzystwach katolickich toleruje się rozwody, usprawiedliwia się małżeńską rozpustę, patrzy się na wybryki dzieci, uzgadnia się z sumieniem sztuczną bezpłodność, prasa katolicka umieszcza wstrętne ogłoszenia, anegdoty i sensacje. Właśnie to, że my katolicy nagięliśmy swoją wiarę i moralność do ogólnych zasad filozofji użycia, że siedzimy cicho, bezwładnie przypatrujemy się, jak stopniowo, lecz systematycznie gangrena zatruwa krew społeczną, właśnie to każe podnieść larum i wołać o zastosowanie tego, co nie zamieni świata w klauzurę Kamedułów, lecz wróci zdrowie ludzkości i podda naszą kulturę prawu ducha.

Witold Rudziński.

Pustelnik

I

Obłe ramię arkady pochyliło się nad wąskim zaułkiem. Zaułek nerwowym zygzakiem wybiegał z głębi skaczących murów. Przez bramę arkady, jak przez okno, patrzył na miasto.

Ulica była szeroka i prosta. Budowle równały w prawo, jednako wyprostowane, w jednakich mundurach. Na godniejszych błyskały naszywki reklam. Gęsty rząd wyniosłych latarń biegł tyraljerą przed domami.

Brzęk! Słyszysz? Niepokój. Ulica huczy. Słyszysz? — hałasuje, krzyczy, wyje. Słyszysz? Mknie! Mój Boże, ulica pędzi. Ulica — potworna, szerokobiodra matka Kemele—wije się w porodowych męczarniach. Słyszysz?

Idzie oto trzech panów. Rozmawiają. Trzy laski, jak trzy wahadła, wypadają naprzód. Lekko się opierając, idą panowie dalej. Mówią. O tancerce mówią jakiejś... O foksterjerku ministrowej. O doskonałych papierosach, przemycanych z zagranicy.

Jakże piękna jest kobieta, śpiesząca naprzeciw. Ta suknia jasna, otulna i powiewna. Patrz na jej krok, na jej ruch, na jej rytm. Dokąd śpieszysz, piękna nieznajoma?

— Dodatek! Dodatek nadzwyczajny! Wybuch olbrzymiej prochowni. 20 ludzi zabitych. Miljony, miljony strat!

Około sprzedawcy nagły tłum. Chłopiec trzyma brodą plik papierów, manewruje obiema rękami. Dźwięk bilonu, jak dźwięk cichego śmiechu.

I znowu krzyk ulicy. Dwaj wojskowi salutują się wzajemnie. Nie myślą o sobie, nie wiedzą o sobie. Obojętnie salutują sobie tylko.

— Może pójdziemy, chłopczyku?

Teraz? W największym ruchu? Zaczepiony bierze dziewczynę pod rękę. Idą szybko, szybko, bardzo szybko. Śpieszą.

Wszystko śpieszy. Patrz! oto stopy, stopy, stopy. Pantofelki na wysokich obcasach. Eleganckie buciki. Połatane, zakurzone, lśniące, brudne. — Wszyscy, wszyscy śpieszą. Poprzez ludzi, poprzez tłumy wyje syrena pośpiechu. Tędy, tędy, tędy!

Dokąd?

Pod wygiętem ramieniem arkady stoi postać. Cień. Patrzy w ulicę. Boże mój, Boże!

Kto? Czy wie sam? Jak się nazywa — napisano w dowodzie osobistym. Imię ojca, imię matki i data urodzenia. I znaki szczególne.

Przed nim ulica. Ludzie i maszyny. Wszyscy śpieszą. On też śpieszy. Śpieszy, stojąc. Dokąd? Poco?

II

Białe, żółte, zielone kwadraty. Pusta siatka ulic, tu i tam, biegną, śpieszą, dokąd? Pochylony nad planem miasta wodzi palcem po głównych arterjach. — —

Tutaj zwykle mamy defilady wojskowe. Szereg za szeregiem, równo, równo, jakby żywe kamienice z latarniami na ramieniu, defiluje karna piechota. Słońca trąb i bębnów grają marsza w ten przedziwny takt na cztery. Wychodzą żołnierze z jednej i giną w drugiej ulicy. Gra orkiestra i łomocą żołnierskie buciary. A potem tłum gapiów się rozpływa. I śpieszy.

Białe, żółte, zielone kwadraty. A tutaj jest fabryka. Fabryka planu jest czarna, fabryka życia — czerwona. Patrzenie na czerwień cegły powoduje ból w oczach. Okna są małe i liczne. Zakratowane. Nie odmykają się nigdy.

Żelazna brama fabryki zawarta. Rozchyla się o czwartej po południu. Wybiega przez nią tłum robotnic. Niektóre mają kapelusze na głowach, inne biegną bez żadnego nakrycia.

A możeby pójść za którąkolwiek. Możnaby na nią patrzeć, jak będzie sunąć szybko z jednej ulicy na drugą, kiwając się w kroku jak kaczka. Możnaby obejrzeć dokładnie, jak jest ubrana i co kupi na obiad, wstąpiwszy na chwilę do sklepu spożywczego. Możnaby zajrzeć nawet przez okno do jej mieszkania i cieszyć się, oglądając codzienne życie ludzkie. Ach! nie — mieszka pewnie na piętrze, na bardzo wysokiem piętrze.

I zniechęcony palec dalej się snuje po białych, żółtych, zielonych kwadratach. Tutaj można oglądać ludzi, wielu, bardzo wielu ludzi, spacerujących w niedzielne popołudnia. A tam jest dzielnica handlowa — tam również można się wybrać. Albo na przystań nad rzekę — tysiące przyjdą dziś na regaty. Albo na lotnisko — będzie się żegnać dzielnych lotników.

I coraz wolniej snuje się palec po biało-żółto-zielonym planie miasta. Zatrzymuje się coraz rzadziej na tem, czy owem miejscu. Mój Boże!

III

Chłopiec siedzi na wystającej płycie chodnika. Brzegi rękawów zestrzępione, łokcie podarte. Czapka zepchnięta na tył głowy. Bosą nogą uderza rytmicznie w jaskrawą blachę rynny.

Przechodzień mija go — ręce ma wpakowane w kieszenie i kołnierz nastawiony, choć deszcz już dawno nie pada. Doświadczone oko nie omyli się nigdy w ocenie — chłopak już goni za przechodniem.

— Proszę pana... głodny jestem... choć jeden grosiczek...

Wzrok nieznajomego ześlizguje się na małego żebraka. Od brudnych nóg, na porcięta podciągnięte paskiem, kurtkę i wyżej na proszące oczy. Oczy ciemne, nieufne, bezczelne.

— Nic jeszcze dzisiaj nie jadłem...

— Chodź.

Chłopiec idzie niepewnie za panem. Rozważa, czy nie bezpieczniej jest uciec. Dokąd go ten frajer prowadzi...?

Na rogu dwa rzędy lustrzanych szyb. Tutaj chłopak nieraz przyglądał się panom i paniom, z nosem przypłaszczonym na szkle. Teraz sam siedzi przy marmurowym stoliku i zajada słodkie bułki. Śpieszy, chce wyjść stąd jak najprędzej — stąd nie zna sposobów ucieczki i w każdej chwili może być złapany za kołnierz. Rozgląda się ciekawie dokoła.

— Jak się nazywasz?

— Franek — kłamie na poczekaniu.

— Masz rodziców?

Chłopiec wpada odrazu w swą rolę:

— Ojciec umarł... matka chora...

... i zaraz uśmiecha się szelmowsko. Ten frajer patrzy nań również z uśmiechem.

— No cóż? syty jesteś?

— Już! — chłopak mówi szybko i zrywa się z krzesełka. Wychodzą obaj.

Ulica płynie, jak zwykle. Obaj idą obok siebie, milcząc. Przechodzień uśmiechnięty. Chłopiec głęboko się namyśla

— Czy pan nie da mi papierosa? — zapytuje nagle, robiąc jednocześnie ostrożny krok w stronę.

Towarzysz jego staje. Patrzy nań przez chwilę. Wybiera portmonetkę.

— Masz. Pójdź, przynieś papierosów. Zapalimy sobie.

Chłopak bierze pieniądze. Szybki tupot odbiegających nóg.

Przechodzień spaceruje tam i napowrót. Cień jego biegnie zygzakiem po chodniku. Ludzie śpieszą w tę i tamtą stronę. Lecz on nie śpieszy, on czeka. Zegar na wieży kościelnej wybija godzinę.

Tramwaje warczą na zwrotnicach. Chłopcy wrzaskliwie sprzedają dzienniki. — Cóż tamten tak długo kupuje papierosy? — Przechodzień staje przed witryną sklepową. Gramofony, rowery, maszyny do pisania. — Czyżby nie wrócił? —

Tramwaje warczą, ludzie biegną tu i tam. Dokąd i poco biegną? I dla kogo są przeznaczone gramofony? Głośnik nad sklepem zaczyna nagle grać przeraźliwie. Gazeciarze krzyczą w niebogłosy.

— Czyżby nie wrócił.

Nie wrócił.

IV

Dzień był mglisty i opony samochodów ślizgały się po asfalcie. Biegłem z sercem przepełnionem radością i niepokojem. Nerwy moje grały jednym rytmem z miastem.

Nagle na rogu zatrzymał mię Przechodzień, pytając o godzinę głosem, jakim się pyta o serce. Ale ja wówczas śpieszyłem bardzo.

— Nie wiem — rzuciłem opryskliwie i pobiegłem dalej.

V

Gazeta krzyczy, gazeta rozpowiada. Jest jak rozdygotana ulica. Ze szpalty na szpaltę



I. Borowska — Kompozycja — rzeźba

ślizgają się oczy, podrzucane uderzeniami tytułów.

— Na Starej 23 żona zamordowała męża, gdy w nocy wrócił pijany do domu.

— Na Słonecznej 18 skradziono ze strychu bieliznę. Szkody wynoszą 300 złotych. Poszkodowany właśnie onegdaj stracił pracę.

— Na Leśnej 13 urodziło się dziecko z trzema nóżkami.

Gazeta rozpowiada, gazeta pędzi:

— Rozjechany przez auto ciężarowe — Redukcje w fabrykach mydła — Międzynarodowa szajka oszustów rozciąga macki w naszem mieście — Wybuch kotła w elektrowni, dwóch zabitych, siedmiu poparzonych.

Gazeta pędzi, kusi, stręczy:

— Sprzedam lustro staroświeckie, bardzo piękne — Młody, z ukończonem gimnazjum, energiczny... — Przystojna, dobrze wychowana, elegancka... — Akwizytorzy najlepiej zarabiają... —

Gazeta nie ma czasu, gazeta śpieszy: trzeba zdążyć odbić wieczorne wydanie. Nic nie mówi o mieszkańcach miasta. O człowieku z ukończonem gimnazjum, o robotniku poparzonym w czasie wybuchu kotła, o niemowlęciu z trzema nóżkami.

Gazeta rejestruje.

Głowa odchyla się na poręcz, oczy patrzą w jasny kwadrat okna. Za oknem pasma drutów telefonicznych. Na drucie siada wróbel. Kręci główką, zerka dokoła. Tylko chwilę. Zrywa się, ulatuje.

— Nawet ty, przyjacielu, nie znajdziesz dla mnie chwili, nawet ty ulatujesz.

VI

Pod wygiętem ramieniem arkady biegnie zaułek w głąb Starego Miasta. Przechodzień idzie wolno. Między stłoczone domki, mrugające błyszczącemi oknami, stanęła świątynia. Żywy strumień kamienny mknie w górę, arkady ostro się łączą, zlewają, unoszą. Gotycki kościół przygarnia człowieka.

Drzwi są zamknięte. Ale pod głębokim łukiem jest spokój. Palce błądzą po chropawych wyżłobieniach muru. Kamienie są ciche i zimne. Można rozpalonym policzkiem przylgnąć do kamiennego chłodu.

Gdzieś daleko gwarzy miasto.

Antoni Gołubiew.

Materjalizm filozoficzny na tle współczesnej fizyki

Ciekawem zagadnieniem socjologicznem byłoby rozpatrzenie, o ile i w jaki sposób czysta myśl, spekulacja intelektualna, poprzedza formy życia praktycznego. Innemi słowy chodziłoby o zbadanie procesu, polegającego na tem, że nauka w swej czystej formie poprzedza sposoby myślenia, przyjęte w życiu codziennem i życiu społecznem. Taki proces łatwo daje się zauważyć na przykładzie materjalizmu filozoficznego, który z teorji francuskich filozofów XVIII w. poprzez głęboko materjalistyczny duch nauk przyrodniczych XIX w. przeszedł wreszcie w koncepcję materjalizmu dziejowego Marksa, uwieńczoną, można rzec, ostatnim stopniem popularyzacji w masach: potężnym prądem absolutnego bezbożnictwa (a więc generalną walką z jakąkolwiek poza- albo nie-materjalnością) w Rosji. I gdy w najwyższych regjonach nauki materjalizm, jako sposób tłumaczenia świata, jeżeli nie został całkowicie pogrzebany, to w każdym razie ustąpił ze swego naczelnego stanowiska — w życiu społecznem święci pełne triumfy i śmiało można twierdzić, iż właśnie dzisiaj rozbrzmiewa pełnym akordem w skomplikowanej symfonji *naszego* życia. Bo fala zdecydowanego materjalizmu życiowego ogarnia nietylko dzisiejszą Rosję, lecz niemniej też kapitalistyczny świat „życia i użycia" po tej stronie barykady.

Czem więc jest materja, na której gruntuje się materjalizm we wszystkich swoich odmianach? Najbardziej powołaną do odpowiedzi jest fizyka. Posłuchajmy zatem jej głosu.

I

Chcąc mówić o materjalizmie i jego pozycji w nauce współczesnej, a szczególnie w fizyce, trzeba się zgodzić na jakąś definicję. Bowiem, jak zauważa F. Lange, rozpoczynając swoją „Historję materjalizmu", całe dzieje filozofji można w pewnym sensie uważać za dzieje materjalizmu. Najbardziej dogodną i pełną dla dalszych rozważań będzie definicja F. Paulsena: jest to

„ta ontologiczna teorja, która na pytanie, jaka jest istota rzeczywistości, daje odpowiedź następującą: Byt, jako taki, jest ciałem, cechy jego stanowią rozciągłość i nieprzenikliwość; jego pierwszą i właściwą formą działania jest ruch. Z tych zasad mogą i muszą się wszystkie przebiegi rzeczywiste dać wytłumaczyć, w szczególności także t. zw. przebiegi świadomości" [1]).

Z każdej definicji materjalizmu niezbicie wynikają trzy podstawowe i charakterystyczne fakty:

1) absolutne zaufanie do danych zmysłowych („To są moi filozofowie"! mówi La Mettrie),

2) oparcie się na pojęciach *umownie* przyjętych (jak materja, ciało, bezwzględność przestrzeni i czasu oraz bezwzględność ruchu),

3) tłumaczenie objawów t. zw. duchowych przez owe pojęcia zasadnicze.

Zaufanie do danych zmysłowych zostało oddawna już bezwzględnie zakwestjonowane. Zgodność ze zmysłowem wyobrażeniem przestała już być podstawą wniosków naukowych.

„Teorję uczynić poglądową znaczy wywołać wyobrażenie owych mnogich faktów, przeżytych przez nas, których uporządkowania schematycznego dokonywa dana teorja" [2])

A przecież dzisiaj nauka wdziera się w dziedziny częstokroć nie mające nic wspólnego z naszemi przeżyciami lub reminiscencjami doświadczeń życia codziennego. Ta pozycja materjalizmu jest najsłabiej broniona, więc też nie będziemy jej poświęcali większej uwagi.

Bezwzględność przestrzeni i ruchu została silnie podkopana przez teorję względności Einsteina. To samo stało się z pojęciem absolutnego czasu [3]).

Wreszcie materja. Ze wszystkich pojęć pierwotnych, jakiemi operuje materjalizm, pojęcie materji jest bodaj najmniej określone. W ostateczności jest to poprostu założenie, podobne do pewników, wprowadzanych w zaksjomatyzowanych systemach geometrji czy fizyki. I jakkolwiek fizyka dzisiejsza uporczywie stara się dotrzeć do istoty owej materji, dotychczas jednak mamy tylko mniej lub więcej szeroko rozbudowane hipotezy. Temu właśnie należy poświęcić nieco uwagi, bowiem od tego, jak fizyka rozwiąże problem materji, zależy

[1]) K. Ajdukiewicz: Główne kierunki filozofji. Str. 225.
[2]) A. Einstein: Geometrja a Doświadczenie.
[3]) Z. Zawirski: Refleksje filozoficzne nad teorją względności, „Przegląd Filozof.". R. XXIII, str. 343.

przecież całe „być albo nie być" materjalizmu od najbardziej subtelnych jego form filozoficznych do najgrubszych przejawów w praktyce szarego dnia.

Fizyka jest nauką, w której może najdłużej przetrwała zasada zgodności wyników badań i koncepcyj naukowych ze zmysłowem wyobrażeniem. Sam antropomorfizm takich pojęć jak „siła", „ciało", „działanie" i t. d. aż nadto świadczy, z jakim trudem można było zbudować obraz otaczającego nas świata bez uciekania się do „faktów, przeżytych przez nas". Długie i mozolne wysiłki znaczą stopniowe odrywanie się świata fizyki od całego grubego podkładu naszych wyobrażeń intuicyjnych. Dzisiaj można już powiedzieć, iż na tej drodze zaszliśmy dosyć daleko. Odkrycie zjawisk elektromagnetycznych, ciał promieniotwórczych i t. d. kazały wkroczyć na linję rozminięcia się z zasadą zmysłowego przedstawienia rzeczywistości.

Za prof. Cz. Białobrzeskim [1]) można w dzisiejszej rzeczywistości fizycznej rozróżnić trzy „pokłady":

1) świat wrażeniowy — t. j. ciała przyrody nas otaczającej z ich różnicami jakościowemi (barwa, ciepło, twardość i t. p),

2) cząsteczki i atomy chemiczne jest to już dziedzina, którą zmysłami konstatujemy pośrednio: świat wrażeń jest *wynikiem* ruchu tych cząsteczek; mamy tutaj stopień abstrakcji stosunkowo łatwy do opanowania,

3) elektryczność, skupiona w elementarnych cząstkach — elektronach. Jest to najwyższy stopień abstrakcji, który jednak w niczem nie pomniejsza faktu, że dla fizyka jednak jest to *rzeczywistość*.

„Doświadczenie narzuca istnienie atomów i cząstek chemicznych, cząstek naelektryzowanych (jonów, elektronów) z taką oczywistością, że wątpić może tylko ten, kto nie zapoznał się należycie z odnośnemi badaniami" [2]).

Nie wiemy jednak, co poza tym ostatnim pokładem się znajduje, na jakiem podłożu on wyrasta, mówiąc pospolicie, z czego „on się składa". Zwykła, odwieczna tragedja umysłu poznającego: niemożność zatrzymania się przy zadawaniu pytań w nieskończoność—„co dalej"?..

Fizyka jednak usiłuje jakoś z tym problemem poradzić. Jeszcze do niedawna poszczególne dziedziny świata fizycznego nie były niczem ze sobą powiązane: mechanika, ciepło, optyka, elektro-magnetyzm — wszystko miało swój samodzielny byt i zdawało się, że niema żadnej wspólnej więzi czy podłoża, któreby je łączyły. Dopiero wiek XIX rozpoczął wielką pracę aksjomatyzacji fizyki i sprowadzania takich zjawisk jak światło, ciepło, elektryczność, a nawet ciążenie powszechne do wspólnego mianownika. Idzie się dzisiaj ku czemuś jednemu, z czego cały ten świat widzialny urasta, co jest tego świata „substancją". Ową wspólną podstawą czy podścieliskiem zjawisk fizycznych jest *elektryczność*, atomistyczna bowiem budowa świata nieuchronnie do niej prowadzi. I tutaj rozpoczyna się najtrudniejsza sprawa. Atomizm prowadzi do antynomji ciągłości i nieciągłości w fizyce, trudno bowiem pogodzić istnienie atomów, „ziaren", oddzielonych od siebie przestrzenią, a więc niczem, z oddziaływaniem na siebie tych atomów. Cudowna siła przyciągania (o której istocie przecież nic nie wiemy) już dzisiaj nie wystarcza: jest to wyjaśnianie ignotum per ignotum.

Aby tej sprzeczności zaradzić, zostało wprowadzone pojęcie „pola siłowego". Powiadamy, że w danym obszarze istnieje „pole siłowe", jeżeli ciałko próbne w nim umieszczone ulega jakiemuś określonemu działaniu. Otóż wyobrażamy sobie takie „pole siłowe" rozciągnięte dokoła atomów; przypisujemy mu ciągłość i pewne własności energetyczne.

Nie można powiedzieć, aby ten kompromis był zupełnie udany, w pojęciu bowiem „pola siłowego"

[1]) Odczyty w T-wie Fizycznem w Krakowie w r. 1920.
[2]) Cz. Białobrzeski: O pojęciach ciała i materji według fizyki współczesnej. „Kwartalnik Filozof." V (1927) 1.2.

mimo wszystko jednak tkwi pewna nieokreśloność, związana z terminem „siła". Narazie jednak musimy tem się zadowolić.

A więc wszystko jest z elektryczności. Jeżeli chodzi o samą elektryczność, to ją także wyobrażamy sobie atomistycznie, więc złożoną z jakichś elementarnych cząstek. Wielkość nawet takiego „elementarnego ładunku" elektrycznego została ściśle wyznaczona (Millikan). Jednak czem jest sama elektryczność w swej istocie — nie wiemy.

I oto mamy obraz dzisiejszej naszej wiedzy o materji. Materja rozpływa się w elektryczności, o której nic powiedzieć nie możemy. Wiemy, że atomy chemiczne składają się z protonów i elektronów, lecz

„nie umiemy odpowiedzieć na pytanie, jakim sposobem utrzymują się w skupieniu elementy objętościowe nabojów protonu lub elektronu *i to stanowi moment irracjonalny w pojęciach atomów elektrycznych*" [1])

Wynika stąd jasno, iż dzisiejsza fizyka daleka jest od starych kanonów, nakazujących operować tylko temi wyobrażeniami, które są dostępne bezpośredniemu sprawdzeniu. Dziedzina ponad- czy pozazmysłowa stała się równie ważną dziedziną poszukiwań.

„W nadzmysłowym świecie atomów elektrycznych usiłuje nauka znaleźć klucz do zracjonalizowania przyrody" [2]).

Irracjonalny charakter ostatecznych wyników badań fizycznych jeszcze bardziej podkreślają ostatnie teorje L. de Broglie i Schrödingera. Rozwijając t. zw. falową budowę materji, zacierają oni wogóle granice atomu, jako tworu indywidualnego; stawiają pod znakiem zapytania wszystkie te szablony, jakie w myśleniu naukowem w ciągu długich wieków się utworzyły.

„Dokoła nas szaleje huragan naukowy, którego nie znają dzieje naszej nauki, w porównaniu z nim powstanie i rozwój zasady względności (szczególniej z 1905 r.) jest tylko słabym wiaterkiem, aczkolwiek była ona powodem zupełnego przewrotu zasadniczych pojęć o przestrzeni, w szczególności zaś czasu" [3]).

W huraganie tym, kiedy wysiłek umysłu ludzkiego nietylko odkrywa fakty i związki między niemi, lecz stwarza nowe metody badania, niemal nowe kanony myślenia, pojęcie elektronu *gubi się w transcendentalnych przyczynach jego występowania*. A jeżeli jeszcze dodać, że

„zostają bezlitośnie *obalone* niezwyciężone dotychczas *podstawy* nietylko naszej nauki, lecz poczęści wszelkiego myślenia naukowego aż do *zasady* przyczynowości włącznie"... [4])

to pozostanie jeden wniosek, że w każdym razie dotychczasowy podział na świat zmysłowy, widzialny, „rzeczywisty" i świat pozazmysłowy, idealny, może nawet urojony, utrzymać się nie da. Granica między temi światami rozlała się na powierzchni ostatecznych zasad współczesnej fizyki. Owszem, raczej można twierdzić, iż w pojmowaniu materji jest fizyk na drodze ku jej uduchowieniu, nadaniu jej cech psychicznych, bo dynamiczny pogląd na jej istotę (pole siłowe!) stwarza nieuniknioną tendencję do tworzenia pojęć spirytualistycznych. Przychodzi tutaj na myśl utożsamianie materji z pierwiastkiem duchowym u neoplatoników i ich tłumaczenie wszystkiego swoją dialektyką antynomiczną [5]). Czyż bowiem nie jest „udogmatyzowaniem sprzeczności" takie np. wyznanie jednego ze znakomitych współczesnych fizyków:

„Sama cząstka materji nie jest punktem w polu rozciągłem, lecz jest to wogóle „coś nieprzestrzennego", tkwi zresztą w otoczeniu przestrzennem, skąd biorą punkty wyjścia jej działania [6]).

[1]) Cz. Białobrzeski: O pojęciach ciała i materji... (podkreślenie moje).
[2]) Ibid.
[3]) Chwolson: Fizyka współczesna. Warszawa 1931, str. 331.
[4]) Ibid. str. 332.
[5]) B Jasinowski: O istocie neoplatonizmu. „Przegl. Filozof." XX.1 str. 46.
[6]) Weyl: Was ist Materie. Berlin 1924.

Pomijamy już sprawę geometryzacji fizyki i nawrócenie za Kartezjuszem do tłumaczenia ciała fizycznego jako modyfikacji li tylko elementów przestrzennoczasowej rozciągłości, bowiem poza najwyższym stopniem abstrakcji ma to jeszcze dzisiaj charakter sporadycznej koncepcji (Weyl, Eddington).

Chodzi przedewszystkiem o podkreślenie faktu, że fizyka dzisiejsza liczy się jednak z tą nieznaną częścią bytu, która jest dla nas niedostępna, uznaje swoją bezsilność w ogarnięciu całości świata i jakiemś „monistycznem", na wzór tradycyjnego materjalizmu, jego tłumaczeniu. Są nawet głosy, mające za sobą bardzo poważne racje, aby wogóle pojęcia świata *jako całości* w fizyce dzisiejszej nie używać wobec rozbieżności między systemami kosmologicznemi, jakie dała dzisiejsza teorja względności, a postulatami logiki względności.

Należy tylko rozróżniać, że owa, powiedzmy, bezradność fizyki dzisiejszej wobec najgłębszych składników rzeczywistości fizycznej nie jest tej samej natury, co sprawa „rzeczy samej w sobie" Kanta. Chodzi o coś więcej, mianowicie, że nie tyle środki poznania są ograniczone u nas, ile świat zewnętrzny okazał się, czy się okazuje znacznie bogatszy, szerszy i bardziej skomplikowany, niż w swoim naiwnym materjalizmie dotychczas wyobraża. Jesteśmy dzisiaj tylko skromniejsi w określaniu rzeczy, a świat duchowy już nie jest dla nas fikcją albo konfiguracją przebiegów materjalnych, lecz conajmniej dziedziną autonomiczną, równoprawną, jeżeli nie szerszą, ogarniającą sobą też świat materji. Oto jest wyznanie dzisiejszego fizyka:

„Fizyka wprawdzie wnika w istotę rzeczy, ale tylko w tej mierze, w jakiej owa istota odsłania się w stosunkach zewnętrznych. Wewnętrzny byt atomów jest dla nas zamknięty; natura jego być może jest duchowa, jeśli zechcemy wnioskować przez analogję z naszą własną istotą"[1]).

Reasumując wszystko dotychczas powiedziane, można podkreślić następujące charakterystyczne momenty współczesnej fizyki:

a) niemożność zupełnego, wyczerpującego określenia pojęcia materji,

b) zerwanie z zasadami, narzuconemi przez materjalizm filozoficzny (np. zasada przyczynowości),

c) zatarcie granic między światem zmysłowym a duchowym na korzyść tego ostatniego,

d) spirytualizacja ostatecznych podstaw nauki o materji i irracjonalny charakter wyciąganych wniosków.

[1]) Cz. Białobrzeski: O pojęciach ciała i materji...

L. Korowajczyk.

Alkohol to zguba ludzkości...

Jan Reytan. KTO WINIEN. Powieść. (Z cyklu „Pamiętniki Trzosa") Warszawa 1933 Cena 3 zł.

Kto czytał „Perły i wieprze" Makuszyńskiego, ten sobie przypomni, jak biedny malarz pijaczyna, Chrząszcz, ażeby ulżyć swemu sumieniu, wymalował na schodach ogromną nerkę alkoholika, przydając do tego piękny napis, z którego każdy mógł dowiedzieć się, jaki go los czeka, jeśli ulegnie wódce. Ta nerka alkoholika stała się już przysłowiowa. Jest ona pierwszym argumentem we wszelkich dyskusjach prohibicyjnych, i wraz z wykresami statystycznemi oraz odczytami szkolnemi, wygłaszanemi niejednokrotnie przez zaawansowanych pijaków, a także z całem mnóstwem zardzewiałych rekwizytów, poznoszonych przez poczciwych staruszków z czasów Prusa, stanowi zasadniczy trzon środków propagandy antyspirytusowej. Praktyka pokazuje, że środki te niestety zawodzą. Cóż to bowiem znaczy wobec jednego spojrzenia na barwną czapeczkę, wobec ponętnej perspektywy burszowskich pojedynków na kufle...

O wiele skuteczniej od tych papierowych pocisków działa żywy przykład, czyto indywidualny, czyto ubrany w barwną formę literacką. Tu wszakże znów droga jest ogromnie śliska. Książka propagandowa, zwłaszcza na tak niepopularny temat, musi odpowiadać pewnym warunkom. A więc: 1) forma lekka, nie nużąca; 2) treść ciekawa, któraby potrafiła zaabsorbować; 3) dobre obznajomienie *autora z alkoholizmem;* 4) temat prawdziwy. Wzorem takiego „żywego przykładu" jest, mojem zdaniem, książka St. I. Witkiewicza p. t. „Alkohol, Nikotyna i t. d.", wydana w roku bieżącym, świetnie napisana przez człowieka, znającego wszelkie modne trucizny z najintymniejszego obcowania z niemi. Napisana rzeczowo i nie nużąco, jest niedościgłym wzorem dla literatury propagandowej. Należy ją wydać w setkach tysięcy egzemplarzy i kolportować zwłaszcza wśród t. zw. *inteligencji.* Tu wspomnę o innej próbie tego rodzaju. W roku 1930 ukazała się mała książeczka Jana Reytana o dość banalnym tytule: „Z pałacu do przytułku". Napisana miernie i nieinteresująco, spotkała się jednak z żywym poklaskiem szeregu biskupów i zasłużonych profesorów, którzy na łamach pism zachęcali do jej czytania.

Po tej pierwszej próbie należało w dalszym ciągu cyklu „Pamiętników Trzosa" spodziewać się jakiegoś nudnego powieścidła. Nasuwało to smutne refleksje o literaturze tego rodzaju. Bądź co bądź przecież rzecz, o którą chodzi, jest warta zachodu.

Druga jednak książka z rozpoczętego cyklu, zatytułowana „Kto winien", wydana w roku bieżącym, przyniosła prawdziwą niespodziankę. Dojrzałym stylem, przemyślaną, choć nieco może nadużytą konstrukcją, dosyć bogatą treścią, po oczekiwaniu jakichś nudnych i łzawych wywodów propagandowych, dała bardzo miłe rozczarowanie. Napisana bardzo interesująco, opracowana rzetelnie, wzrusza, a niekiedy nawet porywa doskonałem przedstawieniem autentycznych podobno dziejów dziedzicznie obciążonego alkoholika, Trzosa. Moralizatorski charakter książki nie wybija się naogół nazewnątrz, a zamierzony atak na pijaństwo maskuje się dość zgrabnie w fałdach wątku powieściowego.

Postać naczelna, której zresztą nie można przyznać w żadnym razie miana bohatera, nawet powieściowego, należy do klasy zamożnej, wykształconej. Jest to moment, za który Reytanowi należy się specjalne podziękowanie. Uważa się bowiem zwykle używanie alkoholu za zbytek, tak jak za luksus uważa się np. posiadanie czterech par kaloszy, albo eleganckiego auta, czy też hodowanie lwa w domu, jak to miało ostatnio miejsce w naszej ojczyźnie. Dlatego też nikt się nie oburza, że ludzie zamożni „czasem" popiją się (z okazji świąt, Pożyczki Narodowej, Lopp'u — okazje w wielkim wyborze są stale na składzie). Piją, bo mają za co. Tymczasem człowiekowi biednemu nie wolno wydać grosza na wódkę, ponieważ właśnie jest biedny i powinien dbać o los swej rodziny i składać każdy grosz na książeczkę P. K. O. w najbliższym Urzędzie pocztowym, aby po dziesięciu latach umrzeć z głodu. A przecież ten człowiek biedny, nędzarz, pozbawiony nadziei lepszego jutra i wszelkich przyjemności, znajduje właśnie w wódce wierną pocieszycielkę, otuchę, radość i zapomnienie. Dla niego ten wstrętny „używek" jest rzeczą nieodzowną, i jeśli komu, to właśnie jemu należy wybaczyć popadanie w nieszczęsny nałóg. Tymczasem człowiek bogaty ma szerokie możliwości w uzyskiwaniu przyjemności, a jeśli ponadto jest jednostką wykształconą, wówczas jest łajdactwem z jego strony używanie alkoholu, a przynajmniej nie ma prawa oburzać się na człowieka biednego, który niekiedy pozwoli sobie na kieliszek. Z tego doskonale widać zdaje sprawę autor, nie wprowadza bowiem ani jednej ważniejszej postaci robotnika czy wieśniaka-pijaka, spotyka się natomiast adwokatów, profesorów, przemysłowców i t. d. Bardzo umiejętnie są tu przedstawione podszepty zła i nałogu, który potrafi zaprząc do swojej służby wszystkie władze ciała i duszy.

Po stronie braków należy wypisać tu pewne wady konstrukcji. Autor zbyt często posługuje się kontrastem: przepych—nędza w życiu tego samego człowieka; momenty refleksyjne są zbyt naszpikowane rozmyślaniami na temat alkoholu, momenty zaś liryczne są zbyt ckliwe i sentymentalne, co nuży, zwłaszcza na początku powieści. Bardzo charakterystyczne dla autora jest „przygotowywanie dysonansów": upadek Trzosa został zapowiedziany przez proroctwo Tatara, a sny uprzedzają śmierć Tekluni i zamordowanie Kaziunia; są to raczej braki niż zdobycze, dzięki temu, że osłabiają efekt późniejszych wypadków, które już nie sprawiają tego wrażenia, na jakie liczył zapewne autor.

Można się obawiać, iż jeżeli książka omawiana trafi do rąk alkoholików, to wywoła skutek zgoła niespodziany. Należy przypuszczać, iż człowiek taki rozpije się jeszcze więcej, tak beznadziejnie została potraktowana sprawa możliwości uleczenia się z alkoholizmu, chociaż autor w zasadzie jej nie przeczy i podaje środki do celu tego wiodące: wstrzemięźliwość i kuracja szpitalna. Wogóle silnie zarysowujący się pierwiastek fatalizmu nie jest ozdobą książki i jakkolwiek autor kilkakrotnie zaznacza, że przy alkoholizmie raczej chodzi o chorobę woli, jednak zbyt wyraźnie podkreśla tu momenty dyspozycyjne i wyolbrzymia ich znaczenie do rozmiarów tak potwornych, że przesłaniają cały horyzont i tamują drogę nielicznym promykom nadziei. Autor nie docenia wartości środków religijnych dla zwalczania nałogów. Doprawdy warto nawet postarać się o jakiś lekki nałóg, żeby doświadczyć ich skuteczności!

Problem „tytułowy“ — „Kto winien“ — jest tu raczej doczepką, mającą dyskretnie przysłonić zasadniczą tendencję. Rzecz jasna, że autor ma na myśli wódkę, jako przyczynę wszystkich nieszczęść.

Co natomiast jest przyczyną, że ludzie piją tę truciznę? Może kobieta, bo na imieninach Tekluni wychyla Trzos kieliszek, który tak zaważył na jego życiu; dzięki księżnej upija się i traci zdrowie; tarapaty Tekluni zmuszają go do wypicia jarzębinówki w czasie, kiedy już zdałoby się został uleczony z nałogu; a potem śmierć jego żony. A może to patrjotyzm cisnął Trzosa na dno upadku moralnego? Wszak zaczyna pić właśnie od toastu na cześć odrodzenia Polski, od czego nie mógł uchylić się żadną miarą. A może... Zresztą czytelnik, który niezwłocznie zabierze się do lektury tej książki, sam dowie się, co o tem ma sądzić.

W. Rudziński.

Marjan Zdziechowski — Węgry i dookoła Węgier

„Dziś, gdy uczucia takie, jak bezinteresowność, ofiarność, honor, rycerskość, zanikają tak w życiu jednostki, jak i w życiu narodów, odrzucane jako przeżytki przeszłości, stanąłeś, Rycerzu bez skazy i strachu, na straży nieliczącej się z żadnemi względami ludzkiemi szlachetności“ — mówił w czasie uroczystości jubileuszowych Zdziechowskiego jeden z Rosjan. Słowa te przypominają się wobec książki, która jest nowym tej postawy dowodem. Nieszczęście wielkiego narodu, połączonego z nami tyloma węzłami wspólnej wielkiej przeszłości i mocnemi nadewszystko związkami serca, a obecnie przez politykę polską odtrącanego, nietylko wzruszyło głęboko Zdziechowskiego, ale stało się niemal osobistą jego sprawą, sprawą prawego Polaka, który w traktacie z Trianon widzi zbrodnię analogiczną do rozbiorów Polski. Dla Zdziechowskiego—polityka, tak samo jak dla Zdziechowskiego — myśliciela czy historyka literatury, probierzem wartości jakiejś myśli jest jej zgodność z zasadami moralnemi, a Węgry właśnie, jak to wykazuje książka, mimo straszliwego rozdarcia, mimo bezsilności politycznej, są w dzisiejszych stosunkach międzynarodowych czynnikiem moralnego ładu i sprawiedliwości. Na gruncie interesów materjalnych nie mamy z Węgrami żadnych kwestyj spornych; nic nas właściwie nie dzieli, a łączy przewodnia idea, której wyrazem było zwycięstwo Węgrów nad bolszewizmem w roku 1918 i nasze pod Warszawą w roku 1920.

Zdziechowski w sposób przekonywujący gromadzi dowody wielkiej życzliwości całego narodu węgierskiego w stosunku do Polski oraz naszej, wywołującej poprostu rumieńce wstydu, obojętności, a nawet naszego politycznego tchórzostwa. Polityka Zdziechowskiego — to, niepozbawiona zmysłu realnego, *polityka serca*, przez którą przemawia umiłowanie królewskiego majestatu Wielkiej Rzeczypospolitej, Polski - Mocarstwa, której jednego z największych władców dał właśnie naród węgierski. Najgorętszem pragnieniem autora jest stworzenie z Węgier i Polski mocnego bastjonu na wschodzie Europy, by ratując się przed zaborczą falą germanizmu z zachodu, pełniły one nadal swą wspólną misję dziejową: *Antemurale christianitatis* przed hordami „niewiernych“, innych dzisiaj niż dawniej, ale jeszcze bardziej groźnych...

Prócz siły przekonywującej, która bije z tych kart, książka, złożona z szeregu okolicznościowych przemówień i artykułów, pisanych na gorąco, pociąga żywością ujęcia tematu i zaletami stylu, nieodłącznemi od prac Zdziechowskiego.

Wierzymy, że rzeczywistość zada kłam słowom goryczy autora: „protest mój nikogo nie wzruszy, należę do świata, który pogrzebano na wieki; głos mój jest głosem z pod ziemi“. Sumienie narodu jeszcze nie zwyrodniało i książka Zdziechowskiego jeśli nawet i nie „zawróci życia fal“, to obudzi żywy oddźwięk w sercach wielu Polaków i przyczyni się napewno do zacieśnienia węzłów przyjaźni polsko-węgierskiej.

W. A.

Czerwone marzenia — czarna rzeczywistość

Niemało się pisze dzisiaj o Rosji Sowieckiej. Ale jakże często te wiadomości różnią się między sobą krańcowo. W prasie sowieckiej znajdziemy tylko zachwyty i wychwalania obecnego stanu gospodarki Trzeciej Międzynarodówki. Wynurzenia prasowe Herriota, który ostatnio odbył swoją sławną podróż, są identyczne z oświadczeniami sowieckiemi. Ukraina dla niego jest urodzajną „la Beauce“ francuską, gdzie się spotyka ludność „silną i dobrze odżywiającą się“. — Z drugiej strony o Z.S.S.R. i jego stanie obecnym słyszymy wprost przeciwne opinje. Komu wierzyć? Po czyjej stronie prawda?

Postarajmy się na to odpowiedzieć, badając, o ile można źródłowo, wiadomości o okropnym głodzie na terytorjum Z.S.S.R.

W numerze z dn. 15 października b. r. „Révue des deux mondes“ w artykule pióra W. Kokowcewa podaje szczegółową statystykę tego, co się dzieje teraz w Rosji. Opierając się na bogatym materjale dowodowym, „Révue“ stwierdza, że od końca roku 1932 zapanował na całym obszarze Związku ostry kryzys żywnościowy, który przeistoczył się w katastrofalny głód na terenie całej Ukrainy, Kaukazu północnego, w Krajach nad dolną i środkową Wołgą, t. zn. właśnie tam, gdzie kolektywizacja została prawie całkowicie wprowadzona w życie. Artykuł przytacza dalej oświadczenia pisemne dr. Otto Schiller'a, niemieckiego eksperta do spraw agrarnych przy ambasadzie niemieckiej w Moskwie. Dyplomata ten w maju roku bieżącego zwiedził Kaukaz północny. Dane, zebrane przez niego podczas tej podróży, są naprawdę rewelacyjne. Ta część Kaukazu, która podług planu pięciolatki miała się stać śpichlerzem całego Związku Sowieckiego, a niegdyś była jedną z najżyźniejszych krain Rosji, przeżywa obecnie niesłychaną klęskę głodową. Powierzchnia zasiewów zbożowych północnego Kaukazu miała osiągnąć przy końcu pięciolatki, t. j. w roku 1932/33 10.677.000 ha, tyleż prawie miała wynieść powierzchnia zasiewów na Syberji, na obszarze czarnoziemów środkowej Rosji obsiewać miano 8.289.000 ha. Produkcja zbożowa północnego Kaukazu miała podnieść się z 5-ciu na 12,4 miljonów tonn.

Zamiast realizacji tego planu, u kresu pięcioletniego terminu mamy na Kaukazie głód, przybierający rozmiary żywiołowej klęski. Wystarczy podać kilka tylko, aż nazbyt wymownych cyfr: w stanicy Temidżbek liczba mieszkańców zmniejszyła się od początków ostatniej zimy z 15.000 do 7.000, w Dmitriewskaja z 6.000 do 2.000, w Illinskaja z 3.000 do 1.500. Nie lepiej dzieje się w miastach: w Stawropolu na 140 tys. mieszk. zmarło z głodu w czasie od 1. I. b. r. 50 tys., w Krasnodarze z 330 tys. ubyło w tym samym czasie 40 tys.

W tych warunkach zrozumiałem się staje, że potrawy ze szczurów, kotów, zdechłych koni, a nawet ludzi, są zwykłem jedzeniem nieszczęśliwych głodnych. W Kijowie np. — powtarzamy za cytowaną już „Révue“ — 150 osób zostało osadzonych w więzieniu za kanibalizm.

Nieinaczej rzecz się ma na Ukrainie. Setki zbiegów z za Dniestru, tysiące listów, otrzymywanych z tej części Rosji, nieustannie stwierdzają faktyczny stan Ukrainy. Ludność tamtejsza do ostateczności doprowadzona głodem, z rozpaczy napada na składy zarekwirowanego jej zboża, choć przed karzącą krwawą ręką komunisty rzadko kiedy udaje jej się umknąć. Jakże często ludność pograniczna rumuńska jest świadkiem okropnych tragedyj nad Dniestrem, ciągłej strzelaniny, masowego mordowania zbiegów, usiłujących przedostać się poza kordon. Za opór władzy rozstrzeliwuje się natychmiast, za masowe napady na kołchozy bombarduje się całe osiedla. — Takie fakty są stale na porządku dziennym. Jako przykład niech posłużą zeznania naocznych świadków, zanotowane przez prasę bukareszteńską w dniu 7-ym lipca b. r.: Ludność małego miasteczka Korosteń i okolicznych wiosek, (miasta odległego o jakieś 100 km. od Kijowa) zmuszona głodem, złupiła wszystkie oko-

liczne składy zbożowe, straż zaś wymordowała, poczem większość schroniła się w okolicznych lasach. Nazajutrz została przez przybyłe w ciągu nocy z Kijowa oddziały G. P. U., ze wszystkich stron otoczona. Oddziały były zaopatrzone w tanki, kilka armat i liczne karabiny maszynowe. O świcie przystąpiono do ataku; samoloty rzuciły szereg bomb gazowych, tanki i armaty zbombardowały większość budynków. Aby przydać więcej grozy temu widowisku i jednocześnie pouczyć innych, zgromadzono na wzgórzach ludność innych wiosek i kazano jej przypatrywać się tej masakrze. 48 jeńców schwytanych podczas ataku zostało rozstrzelanych...

Jest to jeden z wielu obrazków — jakże charakterystyczny—dla obecnie panujących warunków na Ukrainie. Prasa zagraniczna raz poraz je podaje.

Jakkolwiek wszelkie wiadomości, dochodzące z Rosji, są b. skąpe, jednak fakt głodu powszechnie jest podnoszony. Świadczą o tem odezwy zbiorowe z rozmaitych państw. Najbardziej może charakterystyczną jest odezwa Kongresu partyj socjalistycznych w Pradze z dn. 1. X. b. r. Socjaliści stwierdzają, że po „14 latach takiej krwawej dyktatury wieśniacy i robotnicy umierają z głodu w swoim tak bardzo żyznym kraju". A dalej: „Ze wszystkich stron Ukrainy dochodzą nas okropne wiadomości, że wypadki ludożerstwa mnożą się". Autorów powyższych oświadczeń trudno chyba podejrzewać o brak sympatyj dla polityki ich moskiewskich kolegów. Tylko więc rzeczywiście groźna sytuacja mogła wydrzeć im z głębi serca te stwierdzenia, które same w sobie są już oskarżeniem régime'u.

O katastrofie głodu w krajach nadwołżańskich, zamieszkiwanych jak wiadomo przez kolonistów niemieckich, daje nam pojęcie odezwa Komitetu kierowniczego wszystkich stowarzyszeń relig. i patrjotycznych niem., wydana w Berlinie dn. 5 lipca b. r. Z niej dowiadujemy się, co następuje: „Okropny głód panuje w Rosji. Miljony osób, wieśniaków i robotników, stały się jego ofiarami. W tej katastrofie półtora miljona Niemców umiera z głodu. Dziesiątki tysięcy naszych najdroższych współziomków już umarło. Codziennie tysiące wołań o pomoc rozlega się, świadcząc o okropnej nędzy... Jaszczurki, żaby, psy, koty oraz padłe konie używane są jako pożywienie..." Nawet więc wzorowo zagospodarowanych Niemców głód nie pominął!

Przypatrzmy się teraz źródłom sowieckim i postarajmy się wywnioskować, jak się przedstawia sytuacja w Rosji w oświetleniu rosyjskiem. Oczywiście w żadnem piśmie nie znajdziemy wzmianki o głodzie — to jest wykluczone. Ale...

Charakterystyczną jest wiadomość z Rosji Sow., zanotowana przez prasę w Bukareszcie dn. 5. VII. b. r. Chodzi w niej o nowe tendencje w prawodawstwie Ukraińskiej Sowieckiej Republiki, tyczące się wprowadzenia nowych paragrafów karnych, zatytułowanych: „Występki zbożowe". Przewiduje się całą gamę rozróżnień w związku ze stałą akcją antyzbożową ze strony zgłodniałej ludności. — Wskutek dochodzeń poczynionych w sprawie podobnej akcji, „Komunist" charkowski donosi, że mieszkańcy dwu największych kołchozów uprawiali systematyczną kradzież, nożycami ścinając kłosy zboża, czasem nawet niedojrzałego, pozostawiając jedynie słomę na polu.

Niemniej ciekawą rzeczą jest wiadomość, pochodząca z Leningradu i Moskwy, zanotowana w Rydze dn. 14. VII. b. r., potwierdzona niejednokrotnie przez prasę sowiecką, a która świadczy wymownie o niezwykłych trudnościach aprowizacyjnych Rządu Sowieckiego, niemożliwych do pokonania zapomocą zwykłych środków. „Izwiestia" b. przychylnie traktują projekt przedłożony Komisarjatowi do Spraw Aprowizacyjnych— przez pewnego uczonego sow., który opierając się na Pasteur'ze, dowodzi, że można ze zwierząt żywych wydobywać — bez szkody dla nich — pewne ilości krwi oraz innych substancyj, które mogą być zużytkowane jako pokarm...

Za kradzież zboża zgodnie z nowym dekretem, wydanym w miesiącach letnich, karze się śmiercią. Wyżej cytowany „Komunist" donosi o rozstrzelaniu pewnego mieszkańca wsi Trebikow, koło Charkowa, za „kradzież kłosów zboża, ściętych nożycami i za ukrycie ich w skrytce pod łóżkiem". Ilości skradzionych kłosów nie podaje się. — Znowuż notatka, pochodząca z Moskwy 20. IX. b. r., powołująca się na tenże dziennik „Komunist", podaje wyrok trybunału w Owidjopolu, mocą którego pewien obywatel został skazany na 8 lat więzienia za kradzież 1 (jednego) kg. marchwi. Dosłownie!

Przytoczone powyżej przykłady nie świadczą chyba o niczem innem, jak tylko o niebywałym głodzie na terenie Sowieckich Republik.

Wreszcie przytoczmy głos najmniej budzący zastrzeżeń, a zarazem najbardziej bezstronny, — wynurzenia oficjalne sowieckie, zamieszczone na łamach pism moskiewskich, a podane przez prasę ryską w dniu 28-ym sierpnia b. r. Chodzi tu o Osińskiego, komisarza do spraw agrarnych, który ostatnio odbył samolotem wielką inspekcję ponad Ukrainą i Kaukazem. „Izwiestja" moskiewskie podają swoje wrażenia: Osiński stwierdza, przedewszystkiem że jedynym środkiem zdania sobie sprawy ze stanu „agrikultury" jest zwiedzenie terenów upatrzonych drogą powietrzną. Następnie opisuje ze szczerością zadziwiającą — wygląd zasiewów w krajach południowych Związku Sowieckiego. Na polach Kaukazu północnego zboże jest literalnie zachwaszczone morzem dzikich roślin, które przewyższają znacznie rośliny ziarniste. Ten sam widok rzuca się w oczy podróżnemu napowietrznemu na Ukrainie południowej, gdzie nawet kukurydza jest zarośnięta chwastami. Tysiące hektarów na Kaukazie i Ukrainie centralnej przedstawiają się jako porosłe rdzą czerwoną, ponadto są one nawiedzone przez miljardy insektów. Żniwa odbywają się najczęściej odręcznie, gdyż olbrzymia liczba maszyn, które rząd oddał do dyspozycji kołchozów, jest nieużyteczna z powodu braku części zamiennych, siły napędowej, a nawet prostych sznurów. Między innemi Osiński widział w kolektywie — modelu „Czerwona Gwiazda", niektóre żniwiarki i młocarki, sprowadzone z Ameryki, zupełnie nie nadające się do użytku, podczas gdy zboże młócono odręcznie.

Reasumując krótko wszystko co się powiedziało, na podstawie prasy europejskiej, pośrednich wiadomości pism sowieckich oraz relacyj zbiegów z Rosji można dojść do niezachwianego sądu: cała Rosja Sowiecka przeżywa ostry kryzys aprowizacyjny, zaś Ukraina, Kaukaz północny oraz kraje leżące nad dolnym i średnim biegiem Wołgi — katastrofalny głód równy, a jak niektórzy sądzą, większy znacznie niż głód w latach 1920 — 21, kiedy to 5½ miljona ludzi zmarło z wycieńczenia.

Prawdziwe rozmiary tej klęski nie będą prawdopodobnie nigdy ujawnione, o grozie jej świadczy jednak wymownie sam fakt niemożności zatajenia, że istnieje.

Patrzącym na nią entuzjastom Magnitogorsków i Dnieprostrojów powinny poczernieć troszeczkę ich olbrzymie różowe okulary. *W. Z.*

Wydawca i Redaktor Leokadja Małunowiczówna ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ Drukarnia Archidiecezjalna w Wilnie

Otrzymaliśmy pismo treści następującej:

„CZYŻ TAK BYŁO W LEGACISZKACH?

W związku z artykułem, który się ukazał w poprzednim numerze Pax'u p. t. „Jak to w Legaciszkach było...", niżej podpisani poczuwają się do obowiązku zabrać głos w tej sprawie.

Tryb życia w kolonji, ustalony drogą zwyczajów lat ubiegłych, jest bardzo regularny i ma wszelkie dane po temu, żeby wytworzyć atmosferę zdrową i szczerze koleżeńską. Wspólne spędzanie całego dnia na zabawach i rozrywkach sportowych tak bardzo zajmowało ogół młodzieży, że nietylko warunki nie sprzyjały, ale wręcz przeszkadzały wszelkiego rodzaju odosobnianiu się od wspólnego beztroskiego pożycia. Prostota w obejściu nigdy nie stała się synonimem dwuznacznego zachowania się, a była koniecznym wynikiem dłuższego i wspólnego spędzania czasu. Zdajemy sprawę, że nie obeszło się bez wykroczeń ze strony jednostek. Byliśmy jednak świadkami zdecydowanego stanowiska Zarządu kolonji wobec takich faktów. Dodajmy przytem, że te wykroczenia jednostkowe nie urosły ani razu do miary skandalów, o jakich wspomina artykuł kol. L. Małunowiczówny. Artykuł ten ponadto w doborze faktów i ich oświetleniu czyni wielką krzywdę zarówno kierownictwu kolonji, jak i jej mieszkańców(!), szczególnie zaś tym wszystkim koleżankom, które sezon spędzały w Legaciszkach, a które właśnie przez swe zachowanie, pełne godności zasłużyły na najwyższy szacunek. Niesprawiedliwą jest kol. Małunowiczówna, generalizując wybryki jednostek i wyolbrzymiając je z pominięciem dodatnich stron życia młodzieży w kolonji. Czyż nie mówi wiele o życiu Legaciszek fakt uczestniczenia kuracjuszów w 95 proc. w nabożeństwach niedzielnych i to uczestniczenia ogólnego w śpiewach religijnych, uświetniających niedzielne msze św.? Czyż nie jest zasługą kierownictwa uporanie się z nagością w jadalni i na sali tanecznej, zdobyte kosztem kilku awantur z przesadnymi zwolennikami postępu, którzy w strojach gimnastycznych do stołu i do tańca uważali się za dostatecznie ubranych? Ścisła kontrola władz kolonji nad przestrzeganiem przez kuracjuszów regulaminu wpłynęło na to, że w obecnym sezonie nie mieliśmy już smutnej pamięci figlów, przekraczających granice dozwolone.

Nie potrzeba wspominać o szkodliwości pod każdym względem metody, stosowanej w dążeniu do usunięcia bolączek w życiu Legaciszek. Podnoszenie larum i wyolbrzymianie tych lub innych uchybień z jednej strony przyczynia się do zwiększenia anegdotek, kursujących po mieście o życiu w Legaciszkach, przez co niezmiernie szkodzi sprawie ogółu młodzieży i ściąga elementy niepożądane do kolonji, a odstrasza szanującą się młodzież, z drugiej zaś strony rozgorycza ludzi, którzy kierując kolonją włożyli ogrom pracy w zwalczanie ujemnych stron życia letniska akademickiego. Tylko radą koleżeńską i poparciem poczynań władz Bratniaka możemy skutecznie słuszne życzenia przeprowadzić.

(—) Markowski Kazimierz
(—) Polakowski Henryk
(—) Dąbrowski Stanisław

Członkowie Sod. Marjańskiej Akademików U. S. B."

PRZYP. RED. Jesteśmy ogromnie wdzięczni kolegom za tych kilka szczegółów, które uzupełniają nasz artykuł o Legaciszkach i wzmacniają jego tezę. Na wstępie mała uwaga metodyczna: jeśli ktoś zamierza odpowiadać na jakiś artykuł, powinien go conajmniej uważnie przeczytać. Przecież nigdzie nie zarzucaliśmy Legaciszkom „odosobniania się od wspólnego, beztroskiego życia", jakby to wynikało z listu; przypuszczaliśmy tylko, że to życie było zbyt beztroskie; uważaliśmy, że formy współżycia były zbyt mało skomplikowane, a zachowanie się poszczególnych jednostek zbyt niedwuznaczne. Więc wstępne wywody kolegów należy traktować tylko jako liryczne wynurzenia nie mające nic wspólnego z meritum sprawy. Zresztą list nie odpowiada na żaden zarzut z artykułu, a tylko zawiera wątpliwej wartości obronę stosunków w Legaciszkach.

Natomiast skandalicznie przedstawia się inna sprawa. Oto dowiadujemy się, że w Legaciszkach były jednak (gdzież ich niema!) koleżanki, pełne godności i t. d., a oprócz tego, że 95 proc. kuracjuszy brało udział we mszy św. A więc conajmniej 95 proc. obecnych w Legaciszkach byli to katolicy, wśród których znajdowali się i bojowi członkowie bojowych organizacyj katolickich. Przypuśćmy, że wszelkie wybryki były dziełem złośliwej garstki jednostek. Ale większość katolicka wszędzie chyba oponowała świństwom i podkreślała gruntowność swych przekonań. Tak też musiało być w czasie rewij, które są dla nas niezbitym dowodem, że Zarząd przynajmniej w niektórych swych posunięciach gwałtownie zboczył z prostej linji. Tymczasem protest, który kol. kol. z pewnością złożyli po obydwu rewjach, dotąd nie nabrał należytego rozgłosu, a nawet osoby, które albo go składały, albo go przyjmowały, zachowują w tej materji osobliwe milczenie. (Podkreślamy, że w liście niema cienia wzmianki o rewjach, którym była poświęcona conajmniej połowa omawianego artykułu). A myśmy sądzili, że za stosunki w Legaciszkach odpowiedzialność ponosi, obok Zarządu, również większość katolicka, która w tym sezonie była przytłaczająca. Bierność tej większości jest właśnie tym smutnym faktem, o którym dowiedzieliśmy się z listu kolegów.

Najwięcej niejasne jest dla nas to, że piętnowanie tych spraw przez proste ich wyszczególnienie i podanie ich moralnej oceny ma „ściągać elementy niepożądane do kolonji". Kto wie! Może to i lepiej, bo dotychczasowe ukrywanie prawdy ściągało równie „niepożądany element" — 95 proc. biernych katolików.